

# POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XIX

Warszawa, dnia 17 Grudnia 1927 roku

Nr. 51

ANDRZEJ STRUG

## 14) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Grzmot wesołości, w której prym trzymał piekielny ryk Puza, ściągnął do stołu całą gromadę. Niepoohamowany Puzo kazał nalewać i nakazawszy ciszę, zabrał głos:

— Panowie... Nie dla pochwały samodurstwu niedostojnemu oficera regularnej frontowej części... Nam jednak chyba wolno wzniesć zdrowie, tembardziej, że zginął on, dokonawszy czynów bohaterskich... Wieczna jemu pamięć, polskiemu kawalerzystu morowcu, nieszczęsnemu tragicznemu człowieku...

— Panie pułkowniku!

— Co jest?!

— Nie przystoi nam pić na cześć takiego indywiduum... W imię honoru i porządku!

— A pan kapitan mi nie przerywaj, bo jeszcze nie wiesz, co ja dalej powiem... Dlaczego mamy prawo jego wspominać? Bo u nas właśnie najsurowiej pilnowane było porządku i ani jeden żołnierz naszego pułka nie dopuścił się przez całą kampanję...

— Panie pułkowniku, dajmy temu lepiej pokój...

— Co znaczy — dajmy pokój?

— To znaczy, że dobrze znają pańskich ułanów — oho....

— Moich ułanów znają za mężnych żołnierzy i tylko w pańskim pułku co szeregowiec to zegarmistrz i jubiler... Taka wy i piechota — ot co!

— Fałsz!

— Prawda, panie majorze, prawda!

— Plotki! Żydowskie insynuacje!

— Żydy też ludzie, ale wielkopolska sławna piechota dla wszystkich mniejszości jednakowo sprawiedliwa — dobry wam żyd, dobry katolik, dobry prawosławny, byle miał przy sobie zegarek i tych marek parę tysięcy. Wiadoma rzecz!

— Wiadoma rzecz, że pańscy ułani, jak którego spytać która godzina...

— Pytaj pan — co z tego?

— A to, że on może wyciągnąć na zawołanie przynajmniej po jednym zegarku z każdej kieszeni, ile ich tylko ma. Tak mówią na całym froncie.

— Prawda, święta prawda!

— Kto mówi?!

— Panowie od piechoty....

— Co jest — za pozwoleniem — ależ, panowie od piechoty po jakimu to?!

Rozżarła się wieczna kłótnia kawalerzystów i piechoty. Padały ostre słowa, stare kawały, kategoryczne uogólnienia, pełne obustronnej zaciekłości i głupoty — piechota osaczona w znikomej mniejszości okopała się na tezie, że całe szabelkowe ułaństwo jest

przeżytkiem dziejowym, który zbankrutował w nowoczesnej wojnie mas. Cóż zostaje biednym ułanom, chłopskie gęsi i krowy, dziewczki i żydowskie zegarki.

— A Budienny? Dobrzeście wy przed nim wyrywali i gdyby nie my, ułani...

Okop został zdobyty, piechota w odwrocie na gwałt podciągała rezerwowe argumenty, ale ugrzęzło to we wrzawie gromadnej szarży. Wówczas wysunął się z drugiej izby zgrany do nitki (pieniądze zaoszczędzone na urlop oraz na słowo — pobory za grudzień) porucznik płatniczy Daku z Małych Pasiiek i z trudem wdrapał się na stół.

— Bracia! Armja jest jedna i jedyna! Nie wszczynajmy starych sporów...

— Racja! Zgoda panowie!

— Dajcie mi mówić! Niech żyje zbratanie wszystkich broni!

— Niech żyje!

— Oblać ten interes!

— Pozwólcie! Któż nie przyzna, że nasza bohaterska piechota....

— Każdy przyzna! Jedź pan dalej!

— Ale nie zniesiemy drwin z naszej krwi i zasługi. Najświetniejsza polska broń, opromieniona tradycją...

— Poczekajcież, do diabła! Zarówno i nasza kawalerja...

— Zarówno — nie zarówno, ale chwilami owszem...

— I artylerja...

— To zupełnie co innego!

— Pewnie, że co innego, bo nigdy nie widzi nieprzyjaciela...

— Idjotyzm! W moim Daku... Kiedy piechota od nas związała....

— Gdzie to było, panie rotmistrzu, jeżeli wolno? Czy się panu rotmistrzowi przypadkiem nie przyśniło?

— A dalej tanki, broń chemiczna... Wspaniały rozwój techniki bojowej domaga się ścisłego podziału zadań a tem samem i lojalnego współdziałania wszystkich broni, czyli braterstwa. W imię więc braterstwa broni...

— Co to, odczyt?!

— A lotnictwo?!

— Oczywiście i lotnictwo — przepraszam, zapomniałem...

— Ładna rzecz — zapomniałem! Kto zapomina o lotnictwie, niech się nie bierze do przemawiania o sprawach tak zasadniczych. Złaż pan!

— Administracja?

— A intendentura?

— A wojsko łączności?!

— Vivat wszystko i wszyscy! Wszystkie bronie i służby... Konne, piesze, motorowe, i siedzące po kancelarych na własnych swoich... Niech żyją wszyscy a wszyscy, co do jednego, tudzież kuchnie polowe...

— Tylko bez kpín!

— Złaż pan!

— Poważniej, panie poruczniku, prosimy poważniej!

— Jaknajpoważniej, panie pułkowniku — i sprawiedliwie! Niech żyją wszyscy, bo wszyscy złożyli się na nasze wielkie zwycięstwo. Wszystkie bronie były zarówno mężne... A co do bolesnego zarzutu względem tych osławionych zegarków, to melduję posłuszenie, że każdy żołnierz, a tembardziej podoficer dla sprawności służby potrzebuje wiedzieć, która godzina...

— Co to znaczy?!

— To znaczy, panie majorze, że ubogi nasz skarb nie zdołał jeszcze zaopatrzyć milionowej rzeszy szeregowców nietylko w zegarki i pieniądze kieszonkowe, ale w koszule i buty...

— Co to znaczy, ja pytam alem pana?!

— To znaczy, panie majorze, że wszyscy u nas jednakowo kradną i biorą sobie, co im trzeba. Wszyscy i już! Tyle miałem do powiedzenia.

Wogłuszającym ryku i gwarze przeważał jednak śmiech. Urażony najdotkliwiej był tylko jeden major, zastępca komendanta wielkopolskiego pułku. Rozdawał na prawo i na lewo swoje bilety wizytowe, a gdy rozdał wszystkie, odmeldował się u gospodarza i zmierzał do drzwi, pragnąc opuścić jaknajprędzej towarzystwo galicjaków i warszawistów. Ale szukając i macając wyjścia, trafił do drugiej izby. Tam zagroził mu drogę zwarty tłum graczy. Major ze zgrozą ujrzał w ich gronie głównego kuchmistrza — Pijanowski bowiem ożył, a na ławach dokoła sterczących ordynansów, z wyciągniętymi szyjami, zapatrzonych w zachwycie na grę. Zaklął i splunął. — To jest wojsko?! — Postąpił przez chwilę i z rozpaczliwą decyzją wcisnął się w gromadę i z miejsca postawił na kartę całe pięć marek.

\* \* \*

Puzo wrócił jednak do swojego Smykiewicza i zapamiętał go bronął, pomimo, że nikt z obecnych nie był mu wyraźnie nieprzychylny. U szczytu stołu pod drewnianą tarczą z napisem „Witaj i pij” zgromadzili się przy krupniku dwaj komendanci pułków piechoty, jeden lotnik, jakichś dwóch przybłąkanych i nikomu nie znanych kapitanów i podpułkownik Młady, zastępca szefa sztabu grupy, który zresztą spał między nimi smacznie i wygodnie, złożywszy głowę na stole.

— Jeżeli naczelne dowództwo dopuściło wolne drużyny ochotnicze, to tem samem ono i odpowiada... Bo wiadomo, jak ochotnik narusza porządek, choćby był sam jeden w kompanji czy we szwadronie, a cóż dopiero cała banda partyzantów i to pod komendą warjata! Dozwalali im grasować, rozpuścili to, w gazetach rozpisywali się o nich, jak o największych bohaterach i nagle ogłaszają ich za opryszków i bandytów! To panowie z naczelnego dowództwa nie wiedzieli, co znaczy oddział partyzancki? Nie wiedzieli, co za typy i figury pójdą do takiego Smykiewicza?

— Panie pułkowniku, znamy oddziały partyzanckie całkiem przyzwoite...

— Powiadasz pan, przyzwoite? Ja takich i nie widział. Bywały, które dekowały się na tyłach z bryczkami, ze strzyżonemi pannicami - ochotnicami w bry-

czesach i w ostrogach, a wysiadywały po dworach, jadły, piły, wysypiały się, a jak ich oddawano pod komendę regularnej części, to się wnet porozłaziły i tyle. To były zorganizowane dekwoniki, nie żadne partyzanty. Smykiewicz, cały ze wszystkim, to dopiero bojowy partyzant i samowolnik i rabuś, on że narodowy bohater, legiendarny witaż, pieśni o nim będą śpiewać!

— Zwłaszcza żydzi dawno już zaczęli, panie pułkowniku, i długo jeszcze będą wyśpiewywać na jego cześć!

— Nic pan nie rozumiesz! Żydy to tylko obrotna strona medali, a pan patrzaj z fronta, jak żołdatu przystało, bo na frontowej stronie u niego napisano złotemi literami — sława! I tego nie zakrzyczą żadne judofily. Czemu jego nie przyjęto w służbę polską, kiedy się zgłaszał i poręczenie miał solidne?

— A dlatego, panie pułkowniku, że wyrzucono go za złodziejstwo od Kołczaka, a potem nawet od Jude-nicza, gdzie brali każdego, nie pytając.

— Nu, on i żałował on i obiecał i ja panu mówię, żeby dotrzymał. W polskiej służbie by się ustatkował — serce polskie trza mu było okazać a nie plotki za nim zbierać — ot co! Ty człowiekowi przebacza a tam i zapotrzebuj z niego — toby było po naszymu, po rusku — to znaczy, po polsku, nie po austriacku, jak u nas wszędzie w Warszawie po komisjach a sztabach...

— Panie pułkowniku, czy pan pułkownik sądzi, że u nas w wojsku jeszcze zamało się obija swołoczy z carskiej służby?

Wybuchł śmiech i zamarł natychmiast. Przez mgłę niezliczonych wódek dostrzeżono jednak coś naprawdę groźnego. W miłą rozmowę wdarł się niespodzianie zgrzyt. Ni stąd ni zowąd uczyniło się ponuro. Każda sekunda tego ciężkiego milczenia wzmagiała niebezpieczeństwo. Niechże się który odezwie — gdzie u diabła podział się ten Braun?!

Puzo dusił się. Ogromna twarz zsiniała i nabrzmiała, jak poducha. Krótkimi urwanami chwytami pompował w siebie powietrze, ale w tchawicy ugrzęzło mu coś i nie puszczało oddechu. Czerwone oczy wylazły mu na wierzch nieszczęsne i straszne... Sprawca katastrofy, mały chłopaczek, podporucznik konnych strzelców, zbladł, skulił się i odrazu wytrzeźwiał. Na swoje nieszczęście, wyszedł był przed chwilą z drugiej izby, przegrawszy i to do kogo — do kucharza ostatnią resztę tego, co tam przy sobie miał, i nie wiedząc, co czyni, dorzucił do rozprawy swoje głupie trzygrosze, znękany wódką i przegrana.

— Panie pułkowniku... Pozwolę sobie zameldować posłuszenie... Że raczej wyraziłem się chyba nie tak, panie pułkowniku. Co?

Puzo drżącemi rękami rozpinał kołnierz munduru, zaraz chwyci tchu, zaryczy... Z przekrwionych, zapijaczonych oczu ziały szaleństwo i nienawiść.

Nareszcie, nareszcie — porucznik Braun.

— Panie pułkowniku!

— Nie! Nie! Za tym razem... Już ja jemu... Ja jego...

— Panie pułkowniku — pożar! Pali się i to zupełnie porządnie. Wypada jakby na Taraszkiewicze... Wysyłam patrol...

— Taraszkiewicze?! Pod sąd polowy! Który zapuścił ogień — natychmiast do paki! Ciasno, aż piszczy, a tu mi urządzają pożar! O jedną chałupę mniej... Za taką rzecz rozstrzelać mało...

(D. c. n.).

## WSPÓLNIK

Cloete pomyślał, że losy Sagamore'a są mu obojętne, lecz chciałby się znaleźć daleko stąd. Najlepszy ruch statku dech mu w piersiach zapierał, a niebezpieczeństwo go podniecało. Kapitan odprowadził go na stronę: „Łódź ratunkowa nie przyplynie po nas prędzej, niż za godzinę. Niech mnie pan posłucha: może pan, który jest tak odważny, odda mi pewną przysługę”. I poprosił go, aby mu przyniósł z kajuty na rufie, z jednej z szuflad, paczkę bardzo ważnych papierów i około sześćdziesięciu ludwików w płóciennym woreczku. Kapitan nie był na dole od chwili rozbicia statku i zdawało mu się, że gdy przestanie nań patrzeć, statek rozpadnie się na kawałki. Załoga, która w owej chwili była już tylko wystraszonem stadem, gdyby ją opuścił, mogłaby przy silniejszym wstrząśnieniu, pod wpływem paniki, spuścić szalupy na morze, a wtedy mógłby niejeden utonąć.

„Gdyby pan potrzebował światła, jest parę pudełek zapalek na półce w kajucie. Ale niech pan obetrze ręce, nim pan zacznie ich szukać”, dodał kapitan.

Propozycja ta nie poszła w smak Cloete'owi, lecz nie chcąc się zdradzić ze swem tchórzostwem, poszedł. Brnął po wodzie, którą był pokryty górny pokład; w dodatku ściemniało się szybko. Nagle, przy wielkim maszcie, ktoś go schwycił za ramię. Był to Stafford. Nie myślał o nim wcale. Kapitan Harry wspomniawszy coś, że niezbyt był zadowolony ze swego oficera, ale nie powiedział nic więcej. Cloete w pierwszej chwili nie poznał go w ceratowym kaftanie. Ujrzał bladą twarz, z wielkimi oczami, wlepionymi w niego. „Czy pan jest zadowolony, panie Cloete“?

Cloete miał ochotę roześmiać się z jego płacznego głosu, i odsunął go z drogi. Lecz Stafford wdrapał się za nim na rufę, a potem zeszedł z nim do kajuty. Znaleźli się tam sami, w ciemnościach, nie widząc prawie jeden drugiego. „Nie przypuszczam, abyś chciał wmówić we mnie, żeś się przyczynił do rozbicia statku”, rzekł mu Cloete.

Obaj drżeli, nieprzytomni prawie z wrażenia, że są na tym właśnie statku, który dygoce i pochyła się na bok, a oni chwieją się na nogach, czując, że robi im się niedobrze. Cloete znów roześmiał się na myśl o tej marnej kreaturze, która ma pretensję, iż przyczyniła się do stworzenia tak rozpaczliwej sytuacji. „Niech pan nie myśli, że się teraz dam w taki sposób traktować!” ryknął nagle Stafford.

Fala uderzyła nagle w tył statku, który zadrżał cały i stęknął. Ryk wzburzonych fal wokoło nich i nad nimi wyprowadzał Cloete'a z równowagi. Usłyszał Stafford'a, wołającego z wściekłością: „Nie wierzysz mi! Idź i obejrzyj lewostronny łańcuch! Zerwany? Co? Idź i zobacz, czy zerwany? Idź i odzyskaj przepiłowane ogniwo. Nie znajdziesz go. Nie ma przerwanego ogniwa. Należy mi się za to tysiąc funtów. Ani grosza mniej. I to natychmiast po wylądowaniu. Nie będę czekał, aż statek zatoni. Pójdę do tych, co zaasekurowali statek, choćbym miał wędrować boso do samego Londynu! Lewostronna lina! Powiem im: obejrzyjcie lewostronną linę. To ja jej

tak dogodziłem, podmówiony przez tego gałgana Cloete'a.

Cloete nie rozumiał, co właściwie to wszystko znaczy. Widział tylko, że łotr chce zrobić szantaż. Przeczuwał ogromne kłopoty. „Myślisz może, że mnie nastraszyś, ty marny, podły tchórz!”, rzekł do Stafford'a, który mu spojrział prosto w oczy. Obaj oparci byli o stół. „Nie, do licha, nie myślę straszyć ciebie, ale tamtego, tego surdutowego pana!”

Myślał o George'u Dunbar'ze. Cloete'owi zakreśliło się w głowie. Nie przypuszczał, aby ten łotr mógł im istotnie zaszkodzić, lecz wiedział, jakim jest George; wyda tę sprawę, a interes, w który Cloete włożył całą swą duszę, przepadnie. Milczał, słuchając, jak tamten ze strachu, wysiłku i zdenerwowania dyszy, jak pies; wreszcie Stafford warknął: „Tysiąc funtów na stół, w dwadzieścia cztery godziny po wylądowaniu, pojutrze. Oto moje ostatnie słowo, panie Cloete!” „Tysiąc funtów, pojutrze”, odrzekł mu na to Cloete. „Dobrze. A teraz weź zadatek, ty łajdaku!...” I, w napadzie wściekłości, wymierzył mu cios kułakiem. Stafford zatoczył się na przepierzenie. Widząc to, Cloete, podszedł ku niemu i znów go zdzielił gdzieś w okolice szczęki. Stafford potoczył się wprost do kajuty kapitana, od której drzwi były otwarte. Cloete wszedł za nim; ujrzawszy, że upadł ciężko i zatoczył się, jak okręt pod wiatr, wyszedł, zatrzasnąwszy drzwi za sobą; klucz przekręcił w zamku. „Masz za swoje”, powiedział do siebie, „nie będziesz mógł nam już szkodzić”.

— Niech go djabli! — mruknąłem.

Stary na chwilę porzucił swój imponujący spokój i, odwróciwszy głowę z zawadjacko wsadzonym kapeluszem, spojrział na mnie czarnymi źrenicami, o przyćmionym blasku.

— Pozostawił go tam — wymówił z naciskiem i powrócił do nieruchomego wpatrywania się w ścianę. — Cloete nie chciał, aby mu ktokolwiek stawał na drodze do zdobycia majątku, mającego wzbogacić George'a, kapitana i jego samego. Nie myślał o skutkach. Ci handlarze patentowanymi środkami lekarskimi nie przejmują się ani tem, co mówią, ani tem, co robią; wyobrażają sobie, że świat stworzony jest na to, aby wierzył wszelkim ich błogom... Cloete przystanął i przez chwilę nadśłuchiwał; wstrząsnął się, usłyszawszy gwałtowne dobijanie się do drzwi i stłumiony krzyk wściekłości, dochodzący z kabiny kapitana. Zdawało mu się, że słyszał swe imię wśród tego okropnego hałasu, podczas gdy stary Sagamore podnosił się i opadał na fali. Hałaśliwe dobijanie się Stafford'a i okropne wstrząśnienia statku zmusiły go do pośpiesznej ucieczki z kabiny. Zatrzymał się na rufie, by zebrać myśli. Gdy znalazł się wobec ciemnej, dzikiej nocy, tchórz go obleciał. Całe szczęście, że statek wkrótce zatonił. Zatrzymał się do kajuty oficerskiej. Wśród wycia wichru i ryku rozbryzgujących się fal usłyszał, jak Stafford dobijał się do drzwi, przeklinając. Posłuchał chwilę i rzekł: „Nie, nie można mu już teraz dowierzać”.

Gdy dostał się zpowrotem na przedni kasztel, odpowiedział kapitanowi na pytanie, czy przyniósł papiery i pieniądze, że żałuje bardzo, ale nie mógł

się dostać do kajuty, bo coś się we drzwiach popsulo. Nie mógł ich otworzyć. „A przytem muszę się panu przyznać”, dodał, „nie miałem ochoty pozostawać dłużej na dole. Wszystko tam trzeszczy, jak gdyby statek miał się rozpaść na kawałki”. Kapitan pomyślał, że Cloete jest bardzo zdenerwowany, bo drzwi nie mogły się przecież zepsuć. A głośno powiedział: „Dziękuję, mniejsza z tem”. Wszyscy wzdychali do łodzi ratunkowej, każdy myślał tylko o sobie. Cloete zastanawiał się, czy będą pamiętać o Stafford'zie, który tak małe zrobił wrażenie na statku, że po rozbiciu nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt nie troszczył się o to, co robi i gdzie przebywa. W dodatku było tak ciemno, że trudno było się nawzajem policzyć. Nagle ukazało się światło holownika, holującego za sobą łódź ratunkową; płynął w stronę statku. Kapitan zapytał: „Czy wszyscy jesteście tutaj?” Ktoś odpowiedział: „Wszyscy, panie kapitanie”. „Bądźcie w takim razie gotowi do opuszczenia statku”, rzekł kapitan. „Ale przedewszystkiem niech dwóch z pośród was pomoże panu Cloete'owi przy wsiadaniu”. „Ależ, panie...” Cloete chciał poprosić kapitana, aby mógł ostatni opuścić statek, lecz gdy łódź ratunkowa zarzuciła już bosak na olinowanie fokmasztu, dwóch marynarzy schwyciło go, i, upatrzawszy chwilę odpowiednią, spuściło go zdrowego i całego.

Czuł się zupełnie wyczerpany, nie był przyzwyczajony do tego rodzaju przejść. Siadł na rufie z oczami zamkniętymi. Nie chciał patrzeć na białą pianę, pokrywającą wokoło burzące się morze. Marynarze, jeden po drugim, wskakiwali do łodzi. Usłyszał wówczas głos kapitana, który, poprzez szum wichru, wołał do retmana, aby się chwilę wstrzymał; słyszał też odpowiedź retmana: „Ale niech się pan pośpieszy, panie kapitanie”. „Co się stało?”, zapytał Cloete, nawpół żywy. „Chodzi mu o jakieś papiery okrętowe”, odpowiedział retman, bardzo zaniepokojony. „To nie jest chwila odpowiednia dla przebywania w bliskości statku”. Odholowawszy nieco łódź, czekali. Wielkie fale przelewały się ponad łodzią. Cloete odchodził prawie od zmysłów. Nie myślał o niczem, siedząc odrętwiały, gdy wtem rozległ się okrzyk: „Oto jest!” Wśród olinowania fokmasztu ujrzeli oczekującą postać, która z łatwością dostała się na łódź, gdy przyholowali ją z powrotem za pomocą liny bosaka. Rozległy się okrzyki, lecz wszystko zagłuszył szum morza. Cloete'owi zdawało się, że słyszy tuż koło ucha głos Stafford'a. Gdy wiatr na chwilę uspokoił się, głos ten pośpiesznie opowiadał retmanowi, że był wciąż w pobliżu kapitana, który w ostatniej chwili zdecydował się pójść po papiery okrętowe do kajuty na rufie; chciał koniecznie pójść tam sam, a jemu, Stafford'owi, kazał wsiąść do łodzi ratunkowej. Miał zamiar doczekać się powrotu kapitana, lecz gdy uciszyło się, na chwilę pomyślał, że lepiej jednak skorzystać z odpowiedniej pory.

Cloete otworzył oczy. Tak. To Stafford siedzi obok niego w tej natłoczonej łodzi. Retman, nachyliwszy się nad Cloete'm, wołał: „Czy pan słyszy, co opowiada pierwszy oficer?” Cloete poczuł, że wargi i cała jego twarz tężeje, jakby była z gipsu. „Tak słyszę”, odpowiedział z wysiłkiem. Retman, zastanowiwszy się chwilę, rzekł: „Nie podoba mi się to wcale”. I zwrócił się do Stafford'a, mówiąc mu, iż szkoda to wielka, że nie próbował, gdy nastąpiła owa chwila ciszy, dogonić na pokładzie kapitana, aby go przynaglić do powrotu. Stafford odrzekł na to natychmiast, że myślał o tem, lecz bał się w ciem-

nościach rozminąć z nim. „Gdyż”, mówił, „kapitan mógł być odrazu wsiąść do łodzi ratunkowej, przypuszczając, że już tam jestem i odholowalibyście, pozostawiając mnie na statku”. „To możliwe”, rzekł retman. Minuta czy dwie minęły. Nagle Stafford przemówił głuchym głosem: „Byłem świadkiem, jak mówił do pana Cloete'a, że nie wie, czy będzie miał odwagę opuścić swój statek”. I Cloete poczuł, jak w ciemnościach ścisnął go za ramię. „Pamięta pan, panie Cloete? Staliśmy razem, nim pan wsiadł do łodzi”.

Wówczas retman zawołał: „Pójdę na statek zobaczyć”. Cloete wyrwał z uścisku swe ramię: „I ja pójdę także”.

Gdy znaleźli się na pokładzie, retman kazał mu iść ku rufie jedną stroną statku, a sam poszedł drugą, aby nie rozminąć się z kapitanem. „Niech pan maca dookoła siebie rękami, dodał, bo może upadł i leży gdzie zemdlony na pokładzie”. Gdy Cloete doszedł wreszcie do oficerskiej kajuty na rufie, zastał tam już retmana, który zaglądał do środka, węsząc głośno. „Czuję w dole zapach dymu” rzekł i zawołał głośno: „Czy pan tam jest, panie kapitanie?” „Krzyki na nic się nie zdadzą”, odezwał się Cloete, czując, jak serce w nim zamiera. Zeszli na dół. Zupełne ciemności. Statek pochylił się tak silnie, że retman, szukając poomacku drogi do kajuty kapitana, poślizgnął się i, padając, stoczył się na dół Cloete, usłyszawszy jego okrzyk, myślał, że się uderzył i zapytał go, co się stało? Na to cichym głosem odpowiedział mu retman, że upadł na kapitana, który leży bez czucia. Cloete, nie rzekłszy ani słowa, wyszukał w ciemnościach na półce pudełko zapalek i jedną z nich zapalił. Ujrzał w jej świetle retmana w pasie ratunkowym, klęczącego nad kapitanem. „Krew”, rzekł, podniósłszy głowę. Zapalka w tej chwili zgasła.

„Poczekaj pan chwilę”, odezwał się Cloete. „Zrobię pochodnię z papieru”. Poczul na półce grzbiety paru książek; zrobił z nich pochodnie papierowe i zapalał je jedną po drugiej, podczas gdy retman odwrócił biednego kapitana. „Nie żyje”, rzekł. „Strzał prosto w serce. Oto rewolwer”. Podał go Cloete'owi, który, zanim go schował do kieszeni, obejrzał go i zobaczył tabliczkę z napisem H. D u n b a r. „Jego własny”, szepnął. „A czyżże mógł być?” podchwycił retman. „Niech pan patrzy, zdjął kurtkę ce-ratową, nim tu wszedł. Lecz co znaczy ten stos spalonych papierów?”

Cloete, ujrzawszy wszystkie szufladki powyciągane, poprosił retmana, by sprawdził, czy się w nich coś znajduje. „Niema nic. Zupełnie są puste”, odparł retman. „Widocznie musiał wyjąć wszystko, co mu wpadło w rękę, a potem cały ten stos podpalił. Zwarjował — oto co się stało, zwarjował. A teraz nie żyje. Będzie pan musiał to oznajmić jego żonie”.

„Wydaje mi się, jakbym ja sam tracił zmysły”, rzekł Cloete; retman błagał go na miłość boską, aby się nie poddawał i wyprowadził go z kajuty. Musieli pozostawić ciało na statku i zaledwie zdążyli ująć przed wściekłym uderzeniem szkwału. Cloete'a marynarze wciągnęli do łodzi, a retman spuścił się do niej sam. „Odholujcie bosak”, zawołał, „kapitan odebrał sobie życie”.

(D. c. n.).